

**Radosław Tyślewicz**

Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni

**OSOBY CYWILNE W POLSKICH  
KONTYNGENTACH WOJSKOWYCH —  
REKRUTACJA I PRZYGOTOWANIE  
DO WYJAZDU, UWARUNKOWANIA  
FORMALNO-PRAWNE, RELACJE  
MIĘDZYLUDZKIE, STATUS WETERANA  
I ŻYCIE PO MISJI**

**STRESZCZENIE**

Jedenaście lat doświadczeń Polski w operacjach prowadzonych poza granicami kraju z użyciem Sił Zbrojnych RP zaowocowało wieloma rozwiązaniami w zakresie rekrutacji, rozliczania, profilaktyki psychologicznej i medycznej oraz opieki na rodzinami uczestników misji. Działania te, z ustawą o weteranach włącznie, koncentrują się jednak na żołnierzach oraz poszkodowanych uczestnikach misji i ich rodzinach. Badaniom, wsparciu i innym działaniom nie podlegają pracownicy cywilni zatrudniani przez MON na sześciomiesięczne umowy o pracę. Również wsparcie dla większości weteranów nieposzkodowanych jest w praktyce odwrotnie proporcjonalne do ich liczby. Z dziesięciu tysięcy osób, które mogą być objęte statusem weterana (założenia ustawy), tylko około dziesięciu procent stanowią weterani poszkodowani. Artykuł dotyczy problemów procesu rekrutacji, organizacji pracy na misji oraz życia po misji pracowników wojska z perspektywy osobistych doświadczeń zdobytych w latach 2005–2010.

Słowa kluczowe:

misje, weterani, PKW Irak, PKW Afganistan, pracownicy wojska.

**Wstęp**

W ostatniej dekadzie zaangażowanie Polski w zagraniczne misje z udziałem sił zbrojnych nie ma precedensu w nowożytnej historii naszego

kraju. Na dużą skalę angażuje się również w ramach kontyngentów wojskowych tzw. pracowników wojska, czyli osoby cywilne o różnych specjalnościach zawodowych. Z drugiej strony coraz więcej miejsca i uwagi, zarówno w literaturze branżowej, jak i samym środowisku wojskowym, poświęca się poszkodowanym uczestnikom działań poza granicami kraju (fizycznie lub psychicznie), ich rodzinom, problemom odnalezienia się w społeczeństwie po misji itp. W 2011 roku weszła w życie długo oczekiwana ustawa o weteranach działań poza granicami kraju<sup>1</sup>, która stanowiła ukłon i dostrzeżenie problemów uczestników misji wojskowych. Z historycznego punktu widzenia miała nawiązywać do przedwojennej ustawy o weteranach, która dotyczyła uczestników powstania styczniowego, w praktyce chciano rozwiązać problemy „dnia codziennego” uczestników działań poza granicami kraju. Powstaje pytanie, czy spełniła te oczekiwania?

Nie sposób jednak w „zgiełku medialnym wokół misji” nie zauważyć dwóch istotnych elementów, których zdaniem autora zabrakło zarówno w publicznej dyskusji, jak i określonych zapisach ww. ustawy, a w ślad za nimi — w działaniach podejmowanych przez kolejne instancje i instytucje.

Pierwszym z nich jest kwestia dostrzegania i obejmowania cywilów taką samą troską co żołnierzy, którzy w danej misji brali udział. Drugi element to skupienie się i przez to — przynajmniej w opinii publicznej — zdominowanie wizerunku weterana przez pryzmat osoby poszkodowanej. W jednym i drugim przypadku ma to ogromne znaczenie nie tylko dla danej osoby, ale dla całego społeczeństwa i systemu, który powinien ludzi z takim doświadczeniem umieć zaprząć do dalszego rozwoju kraju i pozytywnego, a nie traumatycznego oddziaływania na społeczeństwo, i przez to lepszego odnajdywania swojego miejsca w społeczeństwie po misji.

Dla lepszego zrozumienia postrzegania problemu funkcjonowania cywili na misji oraz ich losów po jej zakończeniu autor, opierając się na własnych doświadczeniach z udziału w trzech misjach, przedstawi sposób angażowania pracowników na potrzeby PKW w latach 2005–2010. Na zakończenie odniesie się również do aktualnie wdrażanych koncepcji NATO dotyczących włączania w większym stopniu środowisk cywilnych na potrzeby misji stabilizacyjnych i konsekwencji, jakie będą się z tym wiązać. Przytoczone zostaną też w części opublikowane notatki autora, spisane na zasadzie pamiętnika podczas jednej z odbytych misji. Zastosowanie metod badań socjologicznych, takich jak metoda badań dokumentów własnych, obserwacja uczestnicząca oraz analiza dokumentów (ustaw, rozporządzeń,

---

<sup>1</sup> Dz.U., nr 205, poz. 1203.

umów o zatrudnieniu oraz regulaminów pracy), ma w założeniu autora pozwolić na przedstawienie problemu oraz opracowanie aparatu badawczego w celu naukowego badania tej grupy w dalszej pracy naukowej.

## **1. Cywile na misji — proces rekrutacji i przygotowania kandydata**

Udział Polski w zagranicznych operacjach wojskowych o charakterze stabilizacyjno-pokojowym na dużą skalę, oznaczającą kontyngent liczący około dwóch tysięcy żołnierzy, przypada na pierwsze lata XXI wieku. Misja w Iraku była pierwszą tego typu operacją w okresie powojennym<sup>2</sup>. Było to wyzwanie zarówno dla żołnierzy oraz sprzętu wojskowego, jak też dla administracji i pracowników cywilnych. Wojskowi musieli stawić czoła rzeczywistości „pola walki” związanej z często archaicznymi procedurami działania, wyszkolenia i wyposażenia. Administracja w kraju mierzyła się w tym czasie z literą prawa i sposobem rekrutacji niezbędnego zasobu cywilnych specjalistów potrzebnych kontyngentowi. Ci ostatni, cywile, musieli z kolei dodatkowo pokonać wykreowany w mediach strach przed wyjazdem w rejon walk, a na miejscu odnaleźć się pomiędzy wojskowymi realiami życia, literą prawa oraz zdrowym rozsądkiem. W obszarze rekrutacji, przygotowania i zasad pracy pracowników wojska w tym okresie było to działanie mocno improwizowane, nastawione na doraźnie efekty i nieprzewidujące długofalowych, systemowych rozwiązań. Wynikało to z krótkiego okresu pomiędzy decyzją polityczną o udziale naszego kraju w misji, jego skali i braku przygotowania zawnazu stosownych rozwiązań systemowych na taką ewentualność przy jednoczesnym zlikwidowaniu wcześniejszych rozwiązań obowiązujących w „poprzedniej epoce ustrojowej”. W efekcie za rekrutację cywilów z rynku odpowiadała do 2007 roku Centrala Wojskowe Misje Pokojowe w Warszawie. Komórka wcześniej odpowiadała za obsadzanie etatów na misjach pokojowych ONZ, głównie w Syrii i Egipcie, gdzie w szczytowym okresie kontyngent naszego kraju liczył około pięciuset ludzi.

### **1.1. PKW Irak, rekrutacja przez Centralę Wojskowe Misje Pokojowe**

Rekrutacja specjalistów cywilnych, w tym tłumaczy języka arabskiego, ratowników medycznych, personelu szpitala i laboratoriów, prawników i specjalistów grupy współpracy cywilno-wojskowej CIMIC, odbywała się z rynku za pomocą ogłoszeń prasowych, stron internetowych oraz poprzez urzędy pracy. Konsekwencją było stosowanie przepisów dotyczących typo-

---

<sup>2</sup> Nie licząc operacji w Czechosłowacji w okresie PRL.

wych rekrutacji pracowniczych i każdorazowo po wyłonieniu kandydatów niszczenie danych pozostałych zgłoszonych aplikantów. Mało tego, po zakończonej z pozytywną oceną misji przez pracownika cywilnego i powtórna potrzeba obsadzenia etatu w tej samej profesji nie korzystano z własnej bazy danych, ale ponownie uruchamiano proces rekrutacji z rynku. Nie kontaktowano się przy tym nawet ze „sprawdzonym w boju” specjalistą. Wiązało się to z ponoszeniem kosztów rekrutacji, poświęconym czasem na jej dokonanie oraz niepewnością, czy osoby, które sprawdziły się na misji, ponownie będą chciały się zatrudnić, wiedząc, że muszą przejść całą ścieżkę naboru od początku. Z kolei osoby nowe mogły na każdym etapie postępowania wycofać się, pozostawiając nieobsadzony wakat w danym kontyngencie, co nie tylko utrudniało jego funkcjonowanie na teatrze działań, ale nastęrczało dodatkowych trudności i kosztów związanych na przykład z transportem pojedynczych członków personelu poza główną rotacją sił własnych w ramach tzw. uzupełnień.

Udziałowi Polski w operacji irackiej towarzyszyło bardzo niskie poparcie społeczne<sup>3</sup> (badania OBOP z 2013 i 2004 roku ukazują poparcie dla udziału w misji w przedziale 22–36%, a zdecydowanych przeciwników na poziomie 55% respondentów), a zatem w efekcie takiej rekrutacji wśród zatrudnianych cywilów można było spotkać kilka „rodzajów”<sup>4</sup> ludzi: „desperatów” z tzw. pośredniaka<sup>5</sup> (część tłumaczy arabskiego pochodzenia), osoby „na dorobku”, młodsze lub starsze nastawione na wymierną gratyfikację finansową, oraz „pozytywnie zakreconych” idealistów i romantyków lub łowców przygód. Każdy profil danego typu kandydata miał swoje wymierne konsekwencje wpływające na jakość pracy, poziom relacji międzyludzkich, a tym samym na osiągnięcie celów całej misji oraz bezpieczeństwo jej uczestników.

Proces rekrutacji składał się z następujących etapów: aplikacji na stanowisko — nadsyłanej w odpowiedzi na ogłoszenie prasowe wraz z listem motywacyjnym, rozmowy kwalifikacyjnej, badań medycznych oraz ankiety bezpieczeństwa. Przynajmniej do połowy trwania polskiego zaangażowania w operację w Iraku drugi etap odbywał się w formie spotkania 1:12, czyli jeden kandydat i dwunastu członków komisji rekrutacyjnej po drugiej stronie stołu. Sytuacja dość nietypowa i mało komfortowa dla kandydata do pracy. Na dodatek rozmowa nie dotyczyła weryfikacji określonych umiejętności

<sup>3</sup> [http://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2004/K\\_086\\_04.PDF](http://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2004/K_086_04.PDF) [dostęp 12.09.2015].

<sup>4</sup> Typów osobowości.

<sup>5</sup> W języku potocznym pojęciem tym określano urząd pracy, gdzie ewidencjonowano osoby bezrobotne.

zadeklarowanych w CV, a raczej polegała na badaniu ogólnej motywacji do wyjazdu i pracy w kontyngencie. Standardowo pytano o gotowość do spania na pustyni pod namiotem czy do wyjazdów poza teren bazy. Jak pokazało własne doświadczenie, komisja w ogóle nie korzystała z akt WKU właściwego dla danego kandydata, np. w zakresie jego kategorii zdolności do odbycia służby wojskowej. To potwierdza pośpiech prac komisji, brak systemowego podejścia do rekrutacji i weryfikacji kandydatów oraz małą liczbę chętnych do pracy (być może jeden z powodów takiego podejścia)<sup>67</sup>. Poza kryteriami formalnymi, jakie musiał spełniać kandydat, czyli dopasowaniem wykształcenia i doświadczenia zawodowego do opisu stanowiska pracy, konieczne było posiadanie czystej kartoteki, tj. zaświadczenia o niekaralności (w tym okresie pozyskanie zaświadczenia było związane z opłatą sądową w wysokości 50 PLN).

Po rozmowie kwalifikacyjnej kandydat otrzymywał ankietę dostępu do informacji objętych klauzulą poufności wymagającą wpisania precyzyjnych danych za ostatnie pięć lat. Jej wypełnienie zajmowało średnio kilka dni. Stosowny certyfikat dopuszczający do informacji oznaczonych klauzulą „poufne” otrzymywało się po około trzech miesiącach, z reguły już na misji. Ostatnim weryfikatorem przed zatrudnieniem były badania lekarskie. Realizowano je wyłącznie w jednej przychodni w Kielcach. Tylko jednego dnia (środa) można było wykonać wszystkie wymagane badania. Obejmowały one wizytę u psychologa, okulisty, dentysty, kardiologa, dermatologa, neurologa, laryngologa, a także RTG, badanie krwi, kału i moczu. Największym wyzwaniem okazała się próba wątrobowa weryfikująca nadużywanie napojów alkoholowych.

Jeżeli kandydat przeszedł wszystkie szczeble rekrutacji z wynikiem pozytywnym, droga do podpisania umowy o pracę na sześć miesięcy z wynagrodzeniem równym minimalnemu wynagrodzeniu obowiązującemu w Polsce była otwarta. W 2005 roku kwota ta wynosiła 849 PLN brutto. W wyjątkowych sytuacjach istniała możliwość przedłużenia umowy na kolejne sześć miesięcy. Po tym okresie cywil wracał do kraju i mógł ponownie zawrzeć kontrakt dopiero po kilku miesiącach, przechodząc całą ścieżkę rekrutacji od nowa. W umowie była klauzula o tzw. dodatku zagranicznym określanym według stanowiska służbowego w wysokości 1250 USD<sup>8</sup>, zwiększeniu dodatku wojennego o 300 USD oraz o 7 USD dziennie za czas fak-

---

<sup>6</sup> Problem barku chętnych nasilił się po 2004 r. i tzw. aferze bakszyszowej.

<sup>7</sup> <http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Afera-bakszyszowa-w-Iraku-przesluchania-oskarzonych,wid,8090325,wiadomosc.html?ticaid=11626e> [dostęp 12.09.2015].

<sup>8</sup> Miesięcznie.

tycznego przebywania w strefie działań wojennych<sup>9</sup>, czyli głównych dochodach pracownika cywilnego. Generalnie umowa podlegała prawu pracy obowiązującemu na terytorium RP, czego konsekwencją był ośmiogodzinny dzień pracy i czterdziestogodzinny tydzień pracy z wolną sobotą i niedzielą. Równocześnie obowiązywała zasada niepłacenia za nadgodziny. Taka sytuacja prowadziła do większych lub mniejszych nieporozumień, absurdalnych w warunkach działań kontyngentu wojskowego<sup>10</sup>.

Skoro żołnierze na misji pracowali 24/24 przez siedem dni w tygodniu, to dlaczego cywile tylko osiem godzin dziennie, a soboty i niedziele miały być wolne? Czy dynamika działań na misji nie wymusza jednakowej dyspozycyjności jednych i drugich? Niestety, krajowe prawo pracy takich sytuacji nie przewidywało, a postawiony wymóg stosowania go poza granicami RP w stosunku do pracowników wojska stwarzał kuriozalną sytuację, która często stawała się osią konfliktu pomiędzy cywilami a wojskowymi. Ten stan rzeczy miał niekorzystne konsekwencje dla cywili również po ich powrocie do kraju, ponieważ „na papierze” pracowali zgodnie z *Kodeksem pracy* i odbierali tylko należny za sześć miesięcy wymiar urlopu wypoczynkowego, czyli 14 dni (starano się, by cywil był już w kraju i urlop naliczono wg stawki minimalnego wynagrodzenia krajowego z umowy o pracę, bez naliczania dodatków zagranicznych), gdy tymczasem żołnierzom przysługiwał płatny urlop za wszystkie przepracowane soboty i niedziele oraz godziny nadliczbowe. Czy w realiach misji w Iraku ktoś mógł nie pracować w weekendy lub tylko zegarowe osiem godzin dziennie? To była fikcja, która uderzała w pracowników wojska.

Kolejną konsekwencją *Kodeksu pracy* i umowy zawieranej z cywilami na czas określony był nierealizowany przywilej urlopu wypoczynkowego w wyznaczonym Wojskowym Domu Wypoczynkowym — z racji zakończenia okresu, na jaki była zawierana umowa, nie obejmował on cywili. Po zakończeniu umowy znikali z horyzontu zainteresowań wojska. Nie podlegali także profilaktyce psychologicznej i wsparciu dla rodzin. Po misji nie mieli możliwości poddania się badaniom, jakimi objęci byli żołnierze. Pozostawieni sami sobie mogli kierować się na zasadach ogólnych do placówek publicznej służby zdrowia.

Najpoważniejszym „ukrytym” następstwem dla cywilów zatrudnianych na takich warunkach był brak należytego wsparcia finansowego

---

<sup>9</sup> Umowa o pracę z 2005 r. na stanowisku starszego specjalisty dla pracownika wojska, co w tamtym okresie dawało łącznie ok. 4700 PLN miesięcznie.

<sup>10</sup> Np. dowódca V zmiany PKW Irak gen. P. Czerwiński został podany do sądu pracy o stosowanie mobbingu w miejscu pracy przez jednego z pracowników cywilnych.

w przypadku odniesionych ran i trwałego kalectwa. Problem polegał na tym, że renty naliczano od kwoty bazowej z umowy o pracę, czyli minimalnego wynagrodzenia krajowego. Skutkowało to pozostawieniem poszkodowanej na misji osoby bez środków pozwalających na godne życie czy rehabilitację. Sprawa za każdym razem rozstrzygana była przez sąd<sup>11</sup>.

Inną konsekwencją przepisu zwalniającego dochody z dodatków wypłacanych za przebywanie w strefie działań wojennych z opodatkowania był fakt wykazywania w zeznaniu rocznym PIT wyłącznie przychodów z tytułu wynagrodzenia w wysokości wspomnianego minimalnego wynagrodzenia. Jedynym śladem „wysokich” zarobków był rachunek bankowy. W przypadku późniejszego określania zdolności kredytowej miało to swoje konsekwencje.

Po podpisaniu umowy o pracę, z większą lub mniejszą świadomością jej następstw, już jako pracownik wojska przyszły uczestnik misji kierowany był do Centrum Szkolenia na Potrzeby Misji Pokojowych w Kielcach. Tam zaopatrywano go w przysługujące umundurowanie i wyposażenie oraz poddawano szkoleniu zapoznawczemu dotyczącemu warunków misji i kultury panującej w rejonie przyszłego działania. W praktyce szkolenie trwało jeden dzień i opierało się na prezentacji multimedialnej. Nie było informacji dotyczących bezpieczeństwa osobistego, używania środków ochrony, pierwszej pomocy przedmedycznej, procedur współpracy z plutonem ochrony czy zasad opuszczania pojazdów oraz obsługi sprzętu wojskowego i środków łączności. Nie odbywało się też szkolenie SERE ani nawet jego elementów. Nigdy pracownicy cywilni nie wzięli udziału w ćwiczeniu zgrywającym przed wyjazdem danej zmiany kontyngentu, nie znali żołnierzy z poszczególnych komórek, z którymi mieli pracować przez kolejne pół roku<sup>12</sup>. Podobnie dowódcy wojskowi nie mieli okazji poznać ani sprawdzić zgrania w zespole swoich podwładnych wojskowych i cywilnych.

## **1.2. PKW Afganistan, rekrutacja przez Dowództwo Operacyjne SZ RP**

Po rozwiązaniu Centrali Wojskowe Misje Pokojowe<sup>13</sup> w 2007 roku funkcje związane z rekrutacją i zatrudnianiem pracowników wojska przejęło Dowództwo Operacyjne Sił Zbrojnych RP. W latach 2008–2012 zmieniły się

---

<sup>11</sup> <http://www.lex.pl/osnp-akt/-/akt/ii-pk-3-2011> [dostęp 14.09.2015].

<sup>12</sup> Przedstawione informacje opierają się na własnych doświadczeniach, a nie zapisach w dokumentach czy planach.

<sup>13</sup> [http://bip.mon.gov.pl/u/pliki/rozne/2014/07/DZUMONNr13\\_07.pdf](http://bip.mon.gov.pl/u/pliki/rozne/2014/07/DZUMONNr13_07.pdf) [dostęp 14.09.2015].

dwa elementy procedury. Komisja rekrutacyjna zmniejszyła swoją liczebność z dwunastu do pięciu osób, a w jej skład weszli psycholog oraz przedstawiciel MSZ, ponadto zrezygnowano z publikacji ogłoszeń w prasie i ograniczono się do umieszczania informacji o naborze kandydatów na stronie DO SZ RP. W dalszym ciągu nie wykorzystywano bazy danych osób, które już pracowały i uzyskały pozytywną opinię za pracę w PKW w Iraku, Czadzie czy Kongo. Drugą zmianą, bardzo istotną, było złamanie zasady konieczności powrotu do kraju po odbyciu jednej, maksymalnie dwóch sześciomiesięcznych zmian. Wielokrotnie przedłużano pracownikom cywilnym umowę o pracę na sześć miesięcy bez konieczności zjazdu do Polski. I tak, przebywając w 2010 roku w Afganistanie na siódmej zmianie w zespole specjalistów wchodzącym w skład Zespołu Odbudowy Prowincji, współpracowałem z kolegami i koleżankami będącymi tam bez przerwy trzecią zmianę! Po pięciu latach doświadczeń misji w Iraku nie zmodyfikowano rekrutacji i nie zniwelowano przeszkód, przeciwnie — jeszcze je spiętrzone.

Dla ukazania, jak codzienność wpływa na kondycję psychiczną uczestnika misji, przedstawię kilka spisywanych na gorąco własnych refleksji z podróży, którą odbyłem z Polski do Afganistanu, a także pracy na miejscu. Część z nich ukazała się w „Mojej Gdyni”, lokalnym dodatku do „Gazety Wyborczej”.

### *VII Zmiana PKW Afganistan — niewiarygodna historia, cz. 1*

#### *Ostatni rzut rotacji z Krakowa do Ghazni*

*Już po raz trzeci wybrałem się z Wojskiem Polskim na misję zagraniczną, tym razem padło na Afganistan. Rekrutację przeszedłem już jesienią 2008 roku, ale los sprawił, że etat znalazł się dopiero w ramach VII zmiany PKW zaplanowanej na 2 i 3 kwartał 2010 r. Wcześniejsze misje w Iraku przeżyłem pod skrzydłami nieistniejącej już Centrali Wojskowe Misje Pokojowe. Tym razem po raz pierwszy moim pracodawcą jest Dowództwo Operacyjne.*

*Początek przygody to 29 kwietnia 2010 r. — tego dnia do godziny 20.00 miałem zameldować się w 5 batalionie dowodzenia w Krakowie. Informacja z DO brzmiała krótko: „[...] proszę się zameldować w ww. jednostce adres: Kraków ul. Krakowska 2!”. Choć pochodzę z innej części kraju, to miasto Kraka trochę znam i wiem że ul. Krakowska ciągnie się od centrum Starego Miasta przez dzielnicę Kazimierz aż do Wisły, i raczej nie ma tam żadnej jednostki wojskowej. Swoją wątpliwość wyraziłem w rozmowie telefonicznej, ale wojskowym zwyczajem zostałem zapewniony o tym, że adres jest na pewno poprawny. Co zrobić, wsiałam w PKP, dojeżdżam do Krakowa, jest godzina 23:52, wsiałam do taxi, podaję kierunek i... słyszę zapewnienie*

kierowcy, że pod wskazanym adresem na pewno nie ma nawet jednego żołnierza. No nic, dla świętego spokoju jedziemy sprawdzić — miejscowy miał rację. Dalej to już działania improwizowane na koszt wyruszającego na misję. Jedziemy do najbliższej jednostki wojskowej i pytamy na bramie o 5 batalion dowodzenia. Czekamy 25 minut, ochroniarz dzwoni do oficera dyżurnego, ten do kolegi gdzieś w innej jednostce, wreszcie sprawa się wyjaśnia. Docelowa jednostka mieści się w miejscowości Rzęska pod Krakowem na ul. Krakowskiej 2 — jedziemy. Koszt tej niefrasobliwości to 70 zł, a to dopiero poczętek...

Takich ja okazało się być więcej, praktycznie każdy rekrutowany przez DO odwiedził urokliwą dzielnicę Krakowa w poszukiwaniu zaginionego batalionu. Czas biegnie dalej, a nowe wydarzenia nie pozwalają na rozpamiętywanie drobiazków z dnia poprzedniego. W salach po „szwejach” opuszczonych wraz z likwidacją służby zasadniczej w 2009 r. zakwaterowano 260 osób: żołnierzy, ratowników medycznych i pracowników wojska — ostatni zastrzyk osobowy VII zmiany. Wylot zaplanowany był na 1 maja. Nikt nie wymagał luksusów, piętrowa prycza (zwana gałęzią), materac, koc i prześcieradło czekało na każdego. No, tzw. węzeł sanitarny budził poważne zastrzeżenia — śmiejemy się Rumunów, a sami lepiej nie mamy. Wszystkie wątpliwości rozwił szef wylotu w stopniu pułkownika, logistyk z Wesolej, oznajmiając, że takie warunki zapewniła nam specjalnie do tego celu powołana grupa zabezpieczenia rotacji. Dziękujemy wam, panowie! Pułkownik miał dość ciekawe, wręcz życiowe poczucie humoru jak na pancerniaka w czarnym berecie, o czym świadczyły komendy wydawane podczas kolejnych apeli. Do annałów tego etapu mojej podróży przeszły następujące stwierdzenia: „sprawdzam obecność, czytam listę obecności bez nazwisk”, „każdy może zmoczyć jeden raz”, „kto mnie nie słyszy, niech podniesie rękę”. Na zakończenie każdego apelu przychodzi czas na pytania, w naszym przypadku po niezrozumiałych komendach i braku jasnej informacji co do przyszłości wylotu po pułkowniku miejsce przed frontem zajmował chudy kapitan w czarnym berecie i zasypany gradem pytań wznosił ku niebu obie ręce, codziennie powtarzając jak mantrę „spokojnie” — po czym zniknął w swojej sali nr 3 w budynku nr 1, i tyle było z wyjaśnień.

Jakby tego było mało, na wejściu do jednostki każdy w pośpiechu musiał zdać główny bagaż. Nikt nie określił kodu umundurowania ani maksymalnych gabarytów bagażu podręcznego na czas przerzutu. Kto co miał na wierzchu plecaka (prywatnego) lub worka (służbowego), brał w nadziei na rychły wylot i dotarcie do bazy docelowej. Nic bardziej mylnego, bagaż za-

*brano, a w Rzęsce przesiedzieliśmy dziesięć dni, niektórzy nawet trzy tygodnie! Do głównego bagażu nikt już nam nie pozwolił się zbliżyć.*

*Główną nowiną dnia następnego było poinformowanie nas, że nie lećmy 1 maja, a apel z kolejnymi informacjami dotyczącymi terminu wylotu zaplanowany jest tego samego dnia na godzinę 18.00.*

*Zabijanie czasu na „gałęzi” (pryczy), spacerów przez las do stacji benzynowej, rozmowy o niczym, no i pierwszy po latach kontakt z suchą wojskową racją żywnościową, tzw. S-ką, były podstawowymi zajęciami grupy oczekujących. Nastąpiła też wymiana doświadczeń związanych z umundurowaniem w kieleckim Centrum Szkolenia na Potrzeby Wojskowych Misji Pokojowych. Pomijając fakt braku rozmiarów mundurów, niewydawania plecaka zwanego zasobnikiem piechoty górskiej (do Iraku każdy dostawał), hitem było pobranie hełmu. Mając za sobą dwukrotną wizytę w Centrum, nie spodziewałem się zmian na gorsze, a tu jednak niespodzianka. Procedura wyglądała tak: 1 — zgłaszam się do sekretariatu, gdzie informują mnie, abym poszedł do magazynu broni i najpierw wybrał oraz przymierzył hełm, na który potem dostanę kwitek. Ponoć producent tego nakrycia głowy każdą serię wypuszcza z inną numeracją i nie wiadomo, co komu przydzielić; 2 — idę do magazynu, dobieram hełm, spisuję nr seryjny i rok produkcji; 3 — idę do trzeciego budynku po asygnatę na owy hełm; 4 — idę do kolejnego budynku, gdzie sympatyczna pani wydaje mi kwitek poświadczający zdjęcie hełmu z ewidencji magazynu; 5 — wracam do magazynu i pobieram wybrany uprzednio hełm; 6 — wracam do pierwszego budynku, ale do księgowości, gdzie z kolei hełm wchodzi na moje konto. Czeski film to mało. Kto to wymyślił, nie wiem, ale potem musiałem pobrać apteczkę indywidualną, mundury, więc łatwo sobie wyobrazić, ile czasu i sił idzie w przysłowiowy gwizdek, bo ktoś zamiast upraszczać, komplikuje banalne sprawy!*

*Wróćmy do sprawy zasadniczej, czyli wylotu. Ponieważ był on pierwotnie zaplanowany na 1 maja, nikt w jednostce nie przygotował się na ewentualne zmiany. Dlatego obiad i kolacja przybrała postać S-ek — w końcu specjalna grupa zabezpieczenia rotacji czuwa!*

*Oczywiście na sobotnim popołudniowym apelu usłyszeliśmy to, co w formie plotki „chodziło” już od południa, tzn. że nie ma wylotu w najbliższych dniach i kto chce, może jechać do domu. Kolejna data zbiórki została wyznaczona na 4 maja, ale owego dnia między 8.00 a 9.00 każdy miał telefonicznie potwierdzić, czy aby wylot nie przesunął się jeszcze bardziej. Bagaż główny pozostawał dla nas nadal niedostępny. Nielatwo po 18.00 wyrwać się z Krakowa transportem publicznym do Lublina, Zamościa, Szczecina, Gdańska i wielu innych miejsc, no ale co robić, naród ruszył do domów.*

Czwartego maja rano telefonicznie potwierdzono zbiórkę wieczorem w jednostce w Rzęsce, bo rzekomo 5 maja miał nastąpić wylot. No i znowu PKP, taxi, zbiórka i... znowu nie lecimy! Krew by zalała nawet słynących z cierpliwości i spokoju Chińczyków. I tak każdego dnia po apelu czekaliśmy na kolejny dzień. Wylot nastąpił 7 maja, ale nie był to koniec naszej tułaczki.

Po zapakowaniu się do wielkiego 300-osobowego Boeinga rozpoczął się nasz lot w kierunku Afganistanu, z planowanym postojem w bazie USA o nazwie Manas na terenie Kirgizji, w pobliżu miasta Biszkek. Ale nasz lot najpierw dotarł do stolicy Rumunii, gdzie w improwizowany sposób (rumuńscy bracia na kartkach papieru odręcznie długopisem wypisali numery i rozdali nam takie bording pass) udało się nam opuścić samolot i dwie godziny spędzić na międzynarodowym lotnisku w Bukareszcie. Polskie mundury „zalały” strefę wolnoctwów. Ciekawe, czy my na Okęciu bylibyśmy równie pomysłowi i życzliwi dla Rumunów, wykazując się tak daleko idącą zaradnością? Obawiam się, że nie. Po około dwóch godzinach poleciliśmy dalej do Manas. Lot trwał tyle co dwa hollywoodzkie filmy plus start i lądowanie, czyli około pięciu godzin. Jak się okazało w czasie lotu, samolot nie był taki nowy i taki idealny. Siedziałem koło wyjścia awaryjnego przy skrzydle i szybko dostrzegłem, że owe drzwi są po poważnych przejściach. Na wysokości dziesięciu tysięcy metrów szron zaczął je wyścielać, a większość śrub była niedokręcona i niechlujnie zamalowana farbą. Chłód ciągnął po nogach, a wizja dehermetyzacji nie pozwalała zasnąć. Dla mnie ten lot nie należał do komfortowych, a przecież „misja Afganistan” była dopiero przede mną.

## VII Zmiana PKW Afganistan — niewiarygodna historia, cz. 2

### Baza przejściowa w Manas, Kirgistan

W Kirgizji również US Army zaczęła nas zadziwiać. Otóż, między samolotem a podstawionym kilkaset metrów dalej autobusem obowiązywał zakaz noszenia miękkich nakryć głowy typu beret, kapelusz, czapka — do dziś nikt nam nie potrafił wytłumaczyć dlaczego. Było nas chyba 260 osób w samolocie, ale busy były dwa po około 40 miejsc. Piękne klasyczne amerykańskie kanciaki w dawnym ZSRR. Tak więc dzielono nas i transportowano z lotniska do bazy. Tu kolejne fale naszego ostatniego rzutu docierały do namiotu odpraw, gdzie przez godzinę uświadamiano przybywających o zasadach panujących w bazie: „obowiązuje pełne umundurowanie”, „posiłki wydawane są 24 godziny na dobę”, „Polakom w barze nie sprzedaje się piwa alkoholowego” itp. Wszystko pięknie, duży namiot, składane krzesła, ekran, a na nim prezentacja z Power Pointa. Tylko że prowadzący szkolenie nie

zwracali uwagi na fakt, że cała grupa nie dotarła jeszcze z lotniska, ponadto nasi oficerowie cichym, wręcz przepraszającym głosem coś tam z przodu gadali, co jakiś czas powtarzając „Ok, będę mówił głośniej”, po czym znów spuszczały z tonu i nic nie było słychać. Kiedy ostaną fala „naszych” dotarła do namiotu wraz z „ulubionym” pułkownikiem, szkolenie akurat się zakończyło.

Zakwaterowano nas w ogromnym namiocie mieszczącym około trzysetu osób. Same piętrowe gałęzie (łóżka), zupełnie jak w 5 batalionie w Rzęsce, tyle że to US Army. Koc, poduszka i prześcieradło — ogólnoswiatowy armijny standard. Pośrodku namiotu szafki na broń żołnierzy, a pod sklepieniem rękaw klimatyzacyjny. Do tego wzorowy węzeł sanitarny, pralnia samoobsługowa z suszarnią, sławetny sklep wielobranżowy PX, poczta, fryzjer, toalety na poziomie i prysznic, do których można było wejść bez obrzydzenia, ogromna namiotowa siłownia z boiskiem do koszykówki i salą do ćwiczeń.

Na terenie obozu działało kino, były też strzelnica golfowa, salon gier komputerowych, Internet Café, czytelnia. Mieliśmy piękny widok na ośnieżone górskie szczyty i towarzystwo rotującej się do domu VI zmiany PKW. Wszystko byłoby super, gdybyśmy znali termin wylotu dalej. A tu „po polskiemu”. Bagaż główny wszystkich 260 osób znalazł się na paletach w magazynie. Ponieważ do Afganistanu mieliśmy zostać przetransportowani mniejszymi grupami, po około 40–60 osób, i to w różnym czasie, należało też podzielić w jakiś sposób owe bagaże, tak aby uniknąć każdorazowego rozbiierania góry waliz i worów na atomy. Nikt z dowodzących na to jednak nie wpadł, a byli to starsi oficerowie. Jeden z nich wygłosił nawet credo swojego postępowania z nami: „Będzie tak, jak ja chcę”. Nie dokonano ani podziału grup wyjazdowych na przewidywalne moduły, np. po dwadzieścia osób zgodnie z rodzajem żołnierzy: ośmiu snajperów razem, grupę bojową razem, PRT razem, zespół szkolący policję razem, żandarmów razem itp., ani nawet nie zaordynowano alfabetycznego podziału. Za to codziennie sprawdzano paszporty i numery ID card.

Efekt był łatwy do przewidzenia, każdorazowo, kiedy znalazł się transport dla jakiejś grupy ludzi, wszyscy musieli stawiać się do magazynu, rozbiierać poukładane bagaże, po czym grupka szczęśliwców kładła swoje pakunki na jednej kupie, a reszta z powrotem układała pozostałe bagaże na wspólną górę. Takie akcje każdorazowo trwały po około 2–3 godziny, zaczynały się o 23.30. Wylatywałem ostatnim lotem, zaliczyłem cztery takie „przekładanki”. Najbardziej współczuję jednak wyznaczonej przez szefa wylotu spośród szeregowych i kaprali tzw. grupie załadowczej, która w dziesięć osób

teoretycznie miała za każdym razem samodzielnie rozładować górę bagaży i następnie ułożyć ją z powrotem. Dużo jeszcze można by tu opisywać przypadków braku kompetencji, wiedzy i podstaw organizacji oraz zatowizowanych postaw społecznych poszczególnych ludzi, ale podsumowaniem niechaj będzie cytat z wypowiedzi kapitana o barwnej ksywie „kapitan gumka” z jednej z takich nocnych zbiórek: „Tak to możemy walić w pręta do piątej rano...”. Nadmienić trzeba, że w czasie naszych trzygodzinnych „manewrów” magazynowych dwie grupy US Army w tym samym miejscu w cieniu polskiej awantury ułożyły swoje bagaże, sprawdziły stan osobowo-rzeczowy i rozeszły się spać, a dowodził nimi... sierżant!!!

I tak w Manas dogonił nas drugi tydzień podróży. Wylot ostatniej grupy nastąpił 11 maja o godzinie 5.00 samolotem Globemaster w kierunku Afganistanu. Oczywiście zgodnie z regułą „zakładki czasowej” zebrano nas w ryszunku na hali odpraw już o 3.00, ale perspektywa zakończenia tej udręki po dotarciu do Afganistanu pozwoliła nam tę niedogodność zignorować<sup>14</sup>.

### VII Zmiana PKW Afganistan — niewiarygodna historia, cz. 3

*Bagram, tak blisko, a jednak tak daleko*

W Bagram wylądowaliśmy rano, otworzył się wielki luk bagażowy w tylnej części samolotu i w dwóch szeregach opuściliśmy ogromny przedział transportowy. Lot przez góry samolotem odrzutowym bez okien zaliczam do nader nietypowych, a towarzyszące przelotowi uczucia są trudne do opisanie. Czulem się, jakby wielki hangar nagle wzniósł się w powietrze, choć wewnątrz hangaru raczej sugerowało pokład SeaQuest lub Star Trek. Nieco oszołomieni stanęliśmy na małym placu w pełnym słońcu. Odebrano nam karty ID, taki dowód osobisty żołnierza — dlaczego, co, nie wiadomo. Znow podzielono nas na grupy, bo dwa zamówione przez łącznikowych autobusy przypadkowo nie dysponowały wystarczającą liczbą miejsc — a przecież wiedzieli, ilu nas przyleci... Już po godzinie podjechał po nas bus. Znow znaleźliśmy się w 300-osobowym namiocie przejściowym, gdzie czekali na nas koledzy, którzy z Manas odlecieli wcześniej. W Bagram baza podzielona jest na część północną, południową i pod obóz Warrior, w którym właśnie nas umieszczono.

---

<sup>14</sup> R. Tyślewicz, Część druga niewiarygodnych przypadków gdynianina w Afganistanie, „Moja Gdynia”, nr 159, 10.07.2010, s. 5.

*Baza to lotnisko położone na największej w „Afganowie” równinie otoczonej ze wszystkich stron górami. Z trzech stron są tak wysokie, że nawet w maju do połowy były jeszcze ośnieżone. Całą dobę po bazie jeżdżą busy znane z kurortów w Egipcie czy Turcji, można więc swobodnie podróżować a to na stołówkę w campie północnym, zwaną z amerykańską DEFAC, gdzie kolejki są mniejsze niż w Warriorze, a to na południową część, gdzie mieści się niby miejscowy targ oraz duży jak na Afganistan PX, choć to tylko marna namiastka tego, co było w Bagdadzie czy Kuwejcie.*

*W dalszym ciągu nikt nie panował nad tym, kto powinien lecieć dalej do Ghazni, nie obowiązywał porządek alfabetyczny, nie wysyłano też poszczególnych oddziałów razem — totalna anarchia. Do tego zaczęły krążyć plotki, że niby „pulkownicy” polecą pierwsi, co by dodatek wojenny wziąć za przelot jako pierwsi. Ta informacja się całkowicie nie potwierdziła. W zasadzie każdy przedyskutowany na gałęziach, podczas lunchu lub w czasie papieroska w blasku słońca, wariant nie sprawdzał się. Powód był całkiem prozaiczny. Codzienne liczenie grupy przez majora łącznikowego, ochrzczonego „majorem chrypką” z racji notorycznej chrypy ewidentnego zespołu dnia następnego, miało swoją przyczynę w tym, że grupa łącznikowa, która odebrała nam na lotnisku ID, zagubiła część z nich. No i jak tu załatwić transport helikopterami do Ghazni, skoro nie wiadomo, ilu ludzi trzeba przetrzeć? Poza tym, jak dogadywać się z amerykańskim sierżantem w centrum lotów, skoro nie zna się angielskiego? Było to możliwe tylko wtedy, gdy dyżur miał „czarny” Afroamerykanin, który „przypadkowo” płynnie mówił po polsku. Jak na tym tle wypada oficer starszy WP, nie muszą dodawać. Niebawem taki stan rzeczy potwierdził się w następnym przypadku. No, ale poza transportami bezpośrednio do Ghazni, można też było polecieć samolotem do innej bazy US Army — Sharana, oddalonej od docelowej Ghazni tyle samo co Bagram. Pomysł był prosty — nieważne gdzie, ale za wszelką cenę wypchnijmy Polaków przybyłych z Bagram, aby łącznikowi byli czysti. Jak pomysleli, tak zrobili i lwią cześć z nas w dwóch lotach Herkulesa przerzucono do bazy Sharana, choć nie miało to żadnego sensu. Reszta metodą kropelkową, po około 28 osób z bagażem głównym, wylatywała Chinookiem do Ghazni (bo polskich helikopterów jest tak mało, że poza lotami bojowymi i medycznymi praktycznie nie transportują naszych wojsk).*

*Problem polegał na tym, że nic nie było wiadome z góry, ani kto poleci, ani o której godzinie. Obowiązywała zasada, że co trzy godziny trzeba zerkać na tablicę ogłoszeń w namiocie. Nawet jeżeli była tam jakaś informacja, to i tak godzina i skład ludzi zmieniały się nieustannie. Do tego prawie każdy z nas zaliczył po trzy wyjazdy na lotnisko i powrót, bo „major chryp-*

ka” nie dogadał się z „czarna człowieka”. Dla rozładowania napięcia ułożyliśmy nawet piosenkę do melodii Arki Noego „Nie boję się, gdy ciemno jest”. Szło to mniej więcej tak:

Ref.: Nie boję się, gdy wylot jest,  
zdążą odwołać, nim zbiorę się.

Zw.: Oni już stoją gotowi w szyku,  
a mnie się znowu zachciało siku.  
W naszym namiocie nie ma już ścisku,  
od sześciu godzin tkwię na lotnisku.

Ref.: Nie boję się, gdy wylot jest,  
jeszcze tu wrócę pożegnać się.

Zw.: Nigdzie nie lecę, znów odwołali  
Wracam na gałąź, mnie to już „wali”.

Ref.: Nie boję się, gdy wylot jest,  
pułkownik za rękę prowadzi mnie.

Zw.: Nasz tata major ciągle drze ryja,  
Nic to nie zmienia, dzień za dniem mija.

Dlaczego na tę właśnie melodię? A no, bo wśród nas znalazł się szeregowy zawodowy, który odtwarzał tę piosenkę z telefonu GSM i opowiadał, jak to zamiast wyprawić osiemnaste urodziny, poszedł z klasą na pielgrzymkę i spotkanie z JP II w 2001 roku — taki ciekawy egzemplarz.

Za każdym razem pakowaliśmy się do autobusów (stary 266), a nieśmiertelna grupa załadowcza jak zwykle miała przekichane. Pułkownik logistyk z Wesolej już nie dowodził w ogóle. Ale atrakcji nie brakowało, a to rozeszła się plotka, że Ghazni walczy po nocnym ostrzale i „śmigła” przyleciały do Bagram tylko po amunicję i dwóch medyków, a to znowu mówiono, że Amerykaninowi wystrzeliło się z łuku (M 16) i akurat przestrzelił drzwi wejściowe do naszego namiotu tuż obok „gałęzi” pułkownika. To znowu bus wywiózł nas w najdalszy zakątek bazy, gdzie pola minowe po Rosjanach straszą do dziś. Widzieliśmy glinianą fortecę chyba z X wieku. Za to trzeciego dnia pobytu zorganizowano nam szkolenie saperskie u saperów US Army. Najpierw podział na dwie grupy, co już nie było proste, bo pomimo kilku majorów i dwóch pułkowników nikt nie dowodził i na prośbę Amerykanów, aby stawić się w kolumnach po dziesięć osób, oczywiście „bydło” ustawiło się po swojemu, czyli około szesnaście osób! No, ale gdy chaos opanowano, w dwóch salach odbyliśmy sześćdziesięciminutowy wykład o improwizowa-

nych ładunkach wybuchowych, okraszony filmami. Potem przenieśliśmy się do starego blaszanego hangaru, gdzie pokazano w praktyce, jak zastawiane są pułapki, jak odpalane — każda eksplozja wskutek naszej nieuwagi na ścieżce dydaktycznej sygnalizowana była głośną syreną. I wszystko byłoby pewnie super, gdyby nie Polacy. W jednym miejscu, przed wejściem na trasę saperską, stary sierżant US Army miał powykładanych kilka min i granatów, o których trochę chciał opowiedzieć, jako że najczęściej tu występują. On mówił, a „nasz” major tłumaczył. Dla tych, co trochę znają angielski, szybko stało się jasne, że co innego mówi łysy jankes, a co innego „nasz major”. Polegało to na tym, że to, czego nie zrozumiał, a rozumiał raczej mało, pomijał i wklejał swoje trzy grosze. Ponieważ jednak „nasz” major miał wybudzone ego i kochał audytorium, więc całymi kwadransami rozwódził się nad rzeczami nieistotnymi. Łatwo było to wyczuć, ponieważ kiedy wtrącał wątek, mówił: „Ja to mówiłem na wykładzie w swojej grupie, nie wiem, czy grupa druga słyszała, więc powtórzę”. Mało, że w ten sposób obrażał Amerykanów, którzy prowadzili wykład w drugiej grupie, to dodatkowo gadał w sposób niezrozumiały dla laików, a taka była nasza grupa — cywilno-medyczna. Bo cóż mi po informacji, że w takiej minie, która spadała z samolotu w 1983 roku, było około 200 gram ładunku? Nic mi to nie mówi. Czy to oznacza, że urywa stopę, nogę, czy zabija wszystkich w promieniu 50 metrów? Tego się nie dowiedziałem, a dzięki tłumaczeniu „naszego” majora-sapera, wstęp trwał ponad 70 minut! Zabawne było też powoływanie się „naszego” majora na filmy z Hollywood (*Hard Locker*), o których oczywiście amerykańscy saperzy nawet nie słyszeli (dość wybuchów widzieli na co dzień). Życie wszystko weryfikuje w boju — ani filmy, ani tanie gadki z podręcznika nie pomogą — tak i owy saper na ścieżce wypadł blado, raz po raz zaliczając wybuchy. W końcu zaczerwieniony zamknął się na dobre.

Kolejnego dnia wydano kamizelki kuloodporne, opaski uciskowe i zasypki hamujące krwawienie. Oczywiście zgodnie z najlepszymi tradycjami krajowej organizacji otwarto magazyn. Ustawiła się kolejka i rozpoczęto wydawanie. Już po kilku godzinach dwieście osób było wyposażonych i dodatkowo mocno opalonych południowym słońcem. Potem szkolenie z ratownikiem medycznym, żandarmem i prawnikiem. Ciekawych rzeczy można się było dowiedzieć, na przykład tego, że jesteśmy tu na zaproszenie Afgańczyków i nie możemy wymuszać na drogach ustępowania pierwszeństwa dla naszych konwojów ani oddawać strzałów ostrzegawczych. Medyk z kolei kazał zajadać leki na malarię, bo w ciągu dotychczasowych sześciu zmian PKW stwierdzono aż jeden przypadek tej choroby, która generalnie nie występuje powyżej 1200 m n.p.m. I według niego leki te nie mają negatywnego

wpływu na wątrobę. Ciekawe zatem, czemu w kraju lekarze przestrzegali przed ich negatywnymi skutkami, zwłaszcza dla oczu! Na koniec żandarm podbudował morale, informując nas, że na VI zmianie zrotowano do kraju ponad sto osób, głównie za nieregulaminowe umundurowanie i nieoddawanie honorów. Za sposób wiązania sznurówek też?

W nocy z 18 na 19 maja o 3.00 rano talibowie zaatakowali bazę, wysadzając się na dwóch bramach. Mogliśmy coś przeczuwać, bo 19 zakwaterowano do naszego namiotu Litwinów i Ukraińców — to zawsze dla Polski niebezpieczna kombinacja. W efekcie ataku podejrzewano, że kilku z nich przeniknęło na teren bazy. Wtedy się zaczęło. Warty w każdym namiocie, zamknięta stołówka i WC. Afera trwała około siedmiu godzin, zabito jedenastu atakujących, siedmiu jankesów odniosło rany, jeden z nich zmarł — w ferworze walki wbiegł na nierozminowany teren!

Najdziwniejsze było to, że atak miał miejsce o 3.00 rano, a do naszego namiotu informacja o zdarzeniu dotarła dopiero około 9.00, kiedy przyszedł do nas umundurowany po zęby jakiś US sierżant i zaproponował, abyśmy (Polacy) zabezpieczyli namiot, żeby jakiś wybuchowy talib nie wpadł i nie wysadził się razem z nami wszystkimi — grunt to informacja na czas w sojuszniczej rodzinie. No, ale warty objęto ochoczo po dwóch przy każdym z czterech wejść. Wreszcie jakiś pułkownik ukrywający się dotąd za tym z Wesolej pokazał, że to nie wycieczka, tylko wojsko. Zebrał obecnych w dwuszeregu, komenda odlicz do czterech (tyle, ile wejść), pierwsza czwórka obejmuje pierwszą godzinę warty, potem druga itd. — jesteśmy ocaleni. Nie było wyjątków dla cywili, też stali na warcie, tyle że bez broni. No, był jeden wyjątek, pewien medyk, cywil, co to na widok łuku (broni) doznawał drgawek. Bardziej wojskowy od wojskowych. No cóż, gdy wypadła jego godzina i w parze z jakimś szeregowym stanął na „placówce bojowej” przy drzwiach, jego marzenia się spełniły. Dostał do ręki mini beryla — uśmiech od ucha do ucha, a szeregowemu było przez godzinę lżej.

Po południu główny polski podobóz w Bagram, gdzie siedzą łącznikowi, przypomniał sobie o nas i kierując się troską o bezpieczeństwo, przekwaterował do siebie. Szybko jednak wyszło na jaw, w jakim celu. Otóż, każdy podobóz dostał rozkaz wystawienia wart — jeżeli mieli stać sami, a na wylot czekało jeszcze pięćdziesiąt osób, to czemu ich nie przekwaterować i jednocześnie wystawić na warty? Proste, logiczne, genialne. Cywilom się upiekło, nie tylko nie stanęliśmy na bramie, ale nie ulokowano nas w namiocie, tylko w kontenerach ustawionych w dwóch szeregach. Miękki dowódca polskiej enklawy w stopniu podpułkownika na zbiórce zapoznawczej co rusz prosił kolejno pojawiających się na horyzoncie kaprali i sierżantów o wska-

zanie nam miejsc noclegu, ale w odpowiedzi słyszał, że kończy im się służba i nie mogą lub nie mają czasu, bo muszą to czy tamto. Nie było żadnej reakcji z jego strony na ewidentną „zlewkę” — taka jest wojskowa hierarchia i dyscyplina!

No, ale nie ma tego złego... Wieczorem wyznaczono 27 osób do wylotu helikopterem bezpośrednio do Ghazni. Byłem w tej grupie i ja — hurra! Zbiórka o 6.00 rano, transfer na helikopterowe lotnisko zwane helipadem i około 8.00 wylot. Jest takie wojskowe powiedzenie, że „częsta zmiana decyzji świadczy o ciągłości dowodzenia” — i tak o 5.00 rano obudzono mnie z pretensją, czemu nie jestem na zbiórce. No cóż, ktoś zapomniał poinformować o zmianie godziny z 6.00 na 5.00. Szybkie ogarnięcie się i po chwili jesteśmy na helipadzie, gdzie czekamy do 9.00 na „śmigło”. Potem tylko anarchia przy pakowaniu Chinooka i lecimy — uff, wreszcie dolecę do Ghazni!

#### VII Zmiana PKW Afganistan — niewiarygodna historia, cz. 8

##### Mundialowy szal i wybory prezydenta RP

Jeżeli ktokolwiek myślał, że wyjeżdżając na misję wojskową, zdoła uciec przed piłką nożną, bardzo się pomylił. Nie jestem zagorzałym kibicem piłki kopanej, nie czekam na Mistrzostwa Świata w tej dyscyplinie sportu z napięciem dziecka na trzy dni przed gwiazdką. Nie jestem też jej śmiertelnym wrogiem. Wiem tyle, że „nasi” grają bardzo dobrze w zagranicznych klubach, a jako drużyna biało-czerwona raczej słabo. Tak się jakoś złożyło, że obecna moja misja znów zbiegła się w czasie z mundialem. Podobnie było na IV zmianie w Iraku (Klubowe Mistrzostwa Świata 2005) oraz na VI (Mistrzostwa Świata w Niemczech 2006) — może to jakieś fatum?

Również działania wojenne i ogólna atmosfera napięcia muszą ustąpić piłkarskim emocjom. Nie ma znaczenia stopień zmęczenia zadaniami w ciągu dnia wykonywanymi w czterdziestostopniowym upale w hełmie i kamizelce. Nie mają znaczenia problemy z prądem i innym niezbędnym wyposażeniem w wysuniętych i odległych bazach ogniowych. Jedno jest pewne — kiedy będzie rozgrywany mecz na jednym ze stadionów południowej Afryki, na pewno gdzieś, w którymś pododdziale znajdzie się działający TV i zestaw satelitarny oraz grupa wiernych kibiców. Mundial uwalnia na wojnie zaradność, zapobiegliwość i skuteczność na niespotykanym poziomie. I nie wolno się denerwować, kiedy przypadkowo odbiornik TV znajduje się przy naszym miejscu do spania. Przecież elektryk kładąc kable i montując gniazdka elektryczne, nie umieścił ich w tym miejscu złośliwie.

*Po prostu, pogodzony z życiem, bo jak tu spać, „znajdując się” na trybunach pośród rozszalałych kibiców — obejrzałem wszystkie mecze I fazy. Ponieważ czas w Afganistanie jest przesunięty w stosunku do Polski wprzód o dwie i pół godziny, poranki nie należały do rześkich. Pocieszeniem był widok kolegów przy śniadaniowych stołach z równie zaspanymi obliczami co moje.*

*W związku z mistrzostwami w piłce nożnej misyjna przedsiębiorczość nie poradziła sobie tylko z jednym — „zorganizowaniem” piwa. No cóż, nie można mieć wszystkiego...*

*Nawet wybory prezydenckie, pierwsza tura, musiały wkomponować się w mundialowy rytm dnia. W naszej bazie lokal wyborczy ulokowano w tzw. „klubie żołnierskim”. To jedyne miejsce z 52-calowym telewizorem, dwoma głośnikami (namiastka kina domowego) i kilkoma fotelami dostępnymi dla każdego. Tu oglądaliśmy mecze. Przewodniczący komisji wyborczej rozumiejąc presję i powagę sytuacji, tak pokierował liczeniem głosów, aby na mecz o 23.00, czyli 20.30 czasu krajowego, klub znów mógł zamienić się w trybunę stadionu piłkarskiego.*

*Same wybory przebiegały spokojnie. Nasilenie głosujących zgodnie z przewidywaniami następowało przed i po posiłkach. Efekt nieco inny niż w kraju. Frekwencja wyniosła około 75% — chyba po części rezultat braku lepszego zajęcia. Wyniki: I miejsce na podium — J. Kaczyński, II miejsce — B. Komorowski, III miejsce — G. Napieralski (trzema głosami przegrał z Komorowskim). Tuż za podium J. Korwin-Mikke i dalej w kolejności: A. Olechowski, W. Pawlak, M. Jurek, A. Lepper, K. Morawiecki, B. Ziętek (bez żadnego głosu). No cóż, niedawne zamieszanie wokół ustawy emerytalnej dla służb mundurowych, pomimo zawieszenia jej na kołku do 2012 roku, przyniosło efekty. Kandydat PO, jeszcze niedawno domniemany lider wyścigu prezydenckiego, prawie dogoniony przez dobranego awaryjnie kandydata SLD. Mnie osobiście cieszy wysokie IV miejsce J. Korwin-Mikkego: „Nie chodzi o to, aby zmienić świnię przy korycie, ale by zlikwidować koryto” — ciekawe motto, choć w polityce chyba oznacza samobójstwo.*

*Już dzień po wyborach, w poniedziałek niespodziewanie „wpadł” z wizytą jeden z kandydatów, p.o. Prezydent RP, Marszałek Sejmu B. Komorowski. Sprawę trzymano w tajemnicy do ostatniej chwili — przynajmniej przed nami. Każdy pododdział dostał przydział miejsc na stołówce, gdzie miało dojść do spotkania z zacnym gościem. Nasze PRT otrzymało trzy miejsca. Jedno dla szefa, drugie dla reprezentanta plutonu ochrony i jedno dla któregoś ze specjalistów. Ale jak go wybrać spośród dwunastu osób? Nie była to twarda wojskowa decyzja, czego się spodziewałem. Ku mojemu za-*

*skoczeniu zarządzono jednak nie zbiórkę albo odprawę, ale „nasiadówkę” lub raczej — naradę plemienną, na której za pomocą karteczek w tajnym głosowaniu mieliśmy wyłonić tego jedyne „szczęśliwca”. Asystent „wodzina” nawet zaczął rozdawać karteczki. Jakiś absurd! Głosowanie jak w starożytnych Atenach na glinianych skorupkach decydujące o tym kto opuści miasto! Wybuch śmiechu i grymas dezaprobaty na twarzy co niektórych jeszcze trzeźwo myślących powstrzymał realizację tej błazenady. Jeśli tak wygląda w wojsku dowodzenie i podejmowanie decyzji na wojnie, to ja dziękuję, ale pospolite ruszenie trzysta lat temu chyba radziło sobie lepiej. A gdyby chodziło o coś poważnego, o czyjeś życie lub posłanie żołnierza na śmierć — też mielibyśmy głosować? Ostatecznie nikogo nie wytypowano, a tuż przed spotkaniem poinformowano nas, że każdy może iść, tylko niech się nie lansuje, że jest z PRT — śmiech na sali! Oczywiście starym zwyczajem potem były pretensje do tych, co nie poszli. O co? Nie wiem do dziś.*

Przytoczone cztery z dziewięciu części relacji, które powstały pisane na gorąco podczas misji w Afganistanie, ukazują, w ocenie autora, jak codzienne trudy misji — rozumiane jako trudne środowisko geograficzne, wymagający klimat, zadania służbowe, presja zagrożenia życia oraz „wojskowa” rzeczywistość — wpływają na stan psychiczny uczestnika misji, a przez to na pracę i efektywność danego zespołu ludzi. Widać, jak zmienia się percepcja otoczenia oraz sposób dostrzegania i reagowania na bodźce zewnętrzne. Wszystkie te czynniki łącznie, wraz z rozłąką z rodziną, niepewnością co do przyszłości zawodowej, po zakończeniu misji wpływają na każdego cywilnego jej uczestnika (zarówno jego kondycję fizyczną, jak i psychiczną). Z takim bagażem wraca do kraju, do tzw. normalności. Powstaje tylko pytanie, czy to, co my określamy jako stan normalny, jest dla takiej osoby właśnie takim stanem? Czy jej percepcja świata, w tym rozumienie zagrożenia, solidarności, zaradności, współpracy, osobistego poświęcenia, nie będzie różnić się od przeciętnego rodaka pozostającego w kraju? W konsekwencji, czy osoba po misji będzie w stanie zaangażować się na przykład w realizację limitu sprzedaży wody mineralnej lub obsługę klientów w salonie telefonii GSM? Z pewnością nie. Jaki zatem pożytek z „misjonarzy” będących żywym świadectwem działań z wykorzystaniem sił zbrojnych (przy założeniu, że nie są to osoby z urazami fizycznymi czy psychicznymi) może mieć nasze społeczeństwo?

## 2. Życie po misji i ustawa o weteranach w praktyce

Koniec misji dla pracownika wojska oznacza zakończenie umowy o pracę na czas określony. Z reguły wraca do kraju czternaście dni przed jej zakończeniem, aby wykorzystać przysługujący urlop wypoczynkowy, płatny według stawki podstawowej na umowie, czyli najniższego średniego wynagrodzenia. Rozlicza się z wydanego sprzętu, zalicza badania lekarskie w Kielcach i jest „wolny”. Co dalej? Być może wypoczynek, ale nie w WDW jak w przypadku żołnierzy. Wypoczynek potrwa tyle, ile zajmie szukanie nowej pracy. Część zatrudnionych cywili była zarejestrowana w urzędach pracy, część nie wróci do dawnego „normalnego” zajęcia, mając doświadczenie praktyczne, zupełnie inną wrażliwość i percepcję świata po misji. Wbrew pozorom ewentualnie zgromadzone środki finansowe nie stwarzają podstaw do rozpoczęcia własnego biznesu i samodzielnego utrzymania (osobną sprawą jest kwestia, ile tych środków zostało i jak nimi zarządzać — częsty powód rodzinnych kłótni, rozczarowań i nawet rozwodów). Dodatkowo dochodzi efekt swoistego misyjnego „wykluczenia”, czyli w środowisku znajomych uczestnik misji zostaje zapamiętany jako osoba przebywająca za granicą — z osobistych doświadczeń jako czynny członek władz samorządowych dużego miasta obserwuję ten mechanizm do dziś. Pięć lat po powrocie z misji, dwóch kampaniach wyborczych dalej spotykam osoby, które są zaskoczone moją obecnością w kraju. „Przecież wyjechałeś do Afganistanu” — słyszę jak mantrę — lub „A myślałem, że znów jesteś na misji, przecież coś tam się dzieje na Ukrainie”. W ich świadomości zostałem zawodowym misjonarzem i jestem wysyłany na miejsce każdego konfliktu, o którym usłyszą w mediach.

Nie spotkałem przypadku, aby cywilnemu pracownikowi po misji proponowano pracę lub jakąkolwiek formę włączenia się w inne działania prowadzone w tym samym lub podobnym regionie świata (np. analityczne). Nie robią tego ani pracodawcy, ani instytucje współpracujące z wojskiem przy organizacji misji (np. MSZ). W stu procentach przyszłość zawodowa cywila zależy od jego własnej inicjatywy i, co ważne, sposobu postrzegania misjonarzy w kraju przez społeczeństwo, w tym pracodawców. Dlatego nie mogę zgodzić się ze stereotypem weterana poszkodowanego. Tylko około dziesięciu procent uczestników misji jest poszkodowanych fizycznie lub psychicznie, a tego typu „etykieta” przyklejana jest wszystkim uczestnikom misji. Takie zjawisko utrudnia karierę i eksperckie wykorzystanie praktyków z misji. Przez przeszło dziesięć lat nie wypracowano w Polsce systemowego rozwiązania rekrutacji, weryfikacji oraz późniejszego wykorzystania na po-

trzeby kraju specjalistycznego personelu cywilnego misji stabilizacyjnych. Takie możliwości istnieją. Zdobyte doświadczenie może być „spożytkowane” w działaniach narodowych realizowanych przy współdziałaniu organizacji pozarządowych, firm spółek skarbu państwa czy firm prywatnych operujących poza granicami kraju. Polska jako członek UE może również aktywniej promować udział naszych doświadczonych obywateli w misjach europejskich realizowanych na całym globie. Na chwilę obecną „system” wypuszcza takich ludzi bez pożytku dla siebie, podobnie jak lekarzy wojskowych, informatyków czy inżynierów kształcących się w Polsce, a znajdujących zatrudnienie za granicą na rzecz obcych gospodarek narodowych.

Przykłady zagraniczne pokazują, że może być inaczej. Amerykański korpus inżynierów (US Corp. of Engineers) czy system obowiązujący w Holandii rozwiązują problem pozyskiwania cywilnych specjalistów na potrzeby wojska, w tym działania poza granicami kraju przy jednoczesnym unormowaniu kwestii prawnych, medycznych, pracowniczych czy odszkodowań. Ponadto odpowiednie procedury pozwalają na wspieranie ich pracy przez zespoły pozostające w kraju, co sprzyja efektywności realizowanych na misji rozwiązań.

Warto się tym problemem w szerszej perspektywie zająć, ponieważ przyszłość misji w kontekście strategii NATO i tzw. zintegrowanego podejścia<sup>15</sup> będzie oznaczać jeszcze większe zaangażowanie świata cywilnego. Nie ulega też wątpliwości, że Polska będzie znaczącym uczestnikiem takich połączonych operacji. Konieczne jest zatem wypracowanie systemowego rozwiązania tej kwestii. I musi to być coś więcej niż ustawa o weteranach, bo choć daje ona podstawowe narzędzia pozwalające na częściowe rozwiązywanie problemów uczestników działań poza granicami kraju (np. miejsce w domu weterana, prawo do pomocy materialnej i medycznej), nie traktuje wszystkich równo. W efekcie cywile nie są objęci częścią „przywilejów”, a ciężar świadczeń w ustawie przesunięty jest w stronę osób poszkodowanych, co potęguje utrwalenie wizerunku weterana poszkodowanego. Podsumowując zapisy ustawy w odniesieniu do weterana będącego cywilem nieposzkodowanym, na własnym przykładzie stwierdzam, że otrzymałem dwa przywileje: pogrzeb z asystą honorową oraz miejsce w domu weterana. Ten pierwszy przywilej nie wpływa znacząco na moje życie doczesne. Drugi jest oczywiście ważny, ale dotyczy kwestii socjalnej, i to w mało optymistycznej wersji. A koszt, jaki za mia-

---

<sup>15</sup> Zapisy strategii NATO z 2010 r. dotyczące Comprehensive Approach.

no weterana muszę ponieść, to wspomniana etykieta osoby poszkodowanej lub w pewien sposób „dotkniętej” misyjną traumą. Obawiam się, że bilans zysków i strat nie wypada dla mnie korzystnie. W Polsce należy jeszcze wiele zweryfikować w kwestii dotyczącej życia weteranów po misji.

## BIBLIOGRAFIA

- [1] Kojkoł J., *Spotykając innego — Polacy w Afganistanie*, Warszawa 2011.
- [2] Kozłowski D., *Czarny ląd i świat arabski — równowaga czy dominacja?*, Gdynia 2011.
- [3] Skrzypczak W., *Zapiski irackie — relacje i wspomnienia uczestników IV zmiany PKW Irak*, Żagań 2006.
- [4] Strategic Concept for the Defence and Security of the Members of the North Atlantic Treaty Organisation adopted by Heads of State and Government in Lisbon<sup>7</sup>, 19 Nov. 2010 [Strategia bezpieczeństwa NATO 2010].
- [5] Tyślewicz R., *Część druga niewiarygodnych przypadków gdynianina w Afganistanie*, „Moja Gdynia”, nr 159, 10.07.2010.
- [6] *Ustawa z dnia 19 sierpnia 2011 r. o weteranach działań poza granicami kraju*, Dz.U., nr 205, poz. 1203.
- [7] [http://bip.mon.gov.pl/u/pliki/rozne/2014/07/DZUMONNr13\\_07.pdf](http://bip.mon.gov.pl/u/pliki/rozne/2014/07/DZUMONNr13_07.pdf) [dostęp 14.09.2015].
- [8] <http://docplayer.pl/6144408-Poradnik-weterana-wydanie-specjalne.html> [dostęp 14.09.2015].
- [9] <http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Afera-bakszyszowa-w-Iraku-przesluchania-oskarzonych,wid,8090325,wiadomosc.html?ticaid=11626e> [dostęp 12.09.2015].
- [10] [http://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2004/K\\_086\\_04.PDF](http://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2004/K_086_04.PDF) [dostęp 12.09.2015].
- [11] <http://www.lex.pl/osnp-akt/-/akt/ii-pk-3-2011> [dostęp 14.09.2015].

**CIVILIANS IN POLISH MILITARY  
CONTINGENTS — RECRUITMENT  
AND PREPARATION FOR THE MISSION,  
FORMAL AND LEGAL ISSUES,  
RELATIONSHIPS, VETERAN STATUS  
AND LIFE AFTER MISSION**

**ABSTRACT**

Polish eleven years of experience in operations conducted abroad with the Polish Armed Forces has resulted in a number of solutions related to recruitment, accounting, prevention and medical and psychological care for the families of peacekeepers. These activities focus on soldiers and victims of the mission participants and their families. Research, support, and other actions practically not subject to civilian staff employed by the Ministry of Defense on 6-month contract. Support for most veterans not affected in practice inversely proportional to their number. Of the total number of 10 thousand. people who may be covered veteran status (Foundation Act), only about 10% are veterans of the victims. The article concerns the problems of the recruitment process, the organization of work on the mission and life after completion of the mission of non-military personnel from the perspective of the author's personal experience.

**Keywords:**

missions, veterans, civilian employees of the army, Polish military contingent.